№ 9.

Rok 3.

CENA:

w Warszawie:
miesięcznie kop. 15 Złp: 1
w Królestwie i Cesarstwie pod opaskami
kwartalnie kop. 62. (Złp. 4 gr. 4.) półrocznie rs. 1 kop. 24. (Złp. 8 gr. 8.) rocznie rs. 2 kop. 48. (Złp. 16 gr. 16).
W kopertach półrocznie rsr 1 kop. 70. (Złp. 11 gr. 10). rocznie rs. 3 40, (Złp. 22 g. 20).

ZORZA

WARSZAWA
17 (29) Lutego
1868 r.

Prenumerować można **Zorzę:**
w Warszawie w Redakcji Nr. 24 (nowy) ulica Nowy-Świat. — na prowincji w Królestwie: po Stacjach pocztowych. W Cesarstwie po Stacjach pocztowych lub za zgłoszeniem się listownem do Redakcji w Warszawie. (Nr. 24 ulica Nowy-Świat) końcową należność można nadsyłać markami pocztowemi.

PISMO NIEDZIELNE
DLA LUDU MIEJSKIEGO I WIEJSKIEGO.

„Czyń każdy w swojem kółku, co każe duch Boży,—A całość sama się złoży.“—*Kazimierz Brodziński.*

ZWODZIJASZ.

POWIASTKA.

Część I.

O tém, co wynikło z rozmowy w Węgrowskiéj kuźni, — i jak czasem rzecz mała staje się ważną.

Było to podczas jesieni, kilkanaście lat temu. Z kuźni Węgrowskiéj dźwięczne bicie młota rozlegało się szeroko po zaułkach przedmieścia, a miech kowalski nadymany ręką krzepkiego jeszcze staruszka, rozdmuchiwał potężnie ognisko. Staruszek pomagał w robocie swemu zięciowi, który wartko obracając na kowadle rozżarzone żelazo, dłonią swą żylastą wywijał ogromnym młotem niby piórkiem i tysiące iskier śród huku rozpryskiwał dokoła. Przed kuźnią stał wóz prawie już okuty, bo właśnie młody kowal sposobił szynę na ostatnie bose jeszcze koło.



Marysia rozwesela małego znajdka i jego ojca.

— Przestańcie już dmuchać, ojcze—rzekł kowal — wóz skończony, wasze siły nie starczą do dalszéj roboty, a zresztą czeladnika tylko patrzeć z powrotem.—Co prawda, to prawda, mój Jędrzeju — rzecze staruszek— siły moje już coraz słabsze i właśnie kiedy pomyślę o tém, że przyjdzie się niedługo już położyć do pościeli, z któréj się powstaje chyba na Józefata-dolinę, to zawsze się zabieram dłużéj pogadać z tobą i o tobie.—Ha! to i pora teraz—rzekł kowal, kładąc węgielek do nałożonéj tytoniem fajeczki—usiądźmy ot na tych pieńkach, i mówcie, dobry ojcze, co macie na myśli.

— Mój Jędrzeju— zaczął stary teść—

dobrzeby raz się już namyślić, a ożenić się na nowo: toć to blisko już dwa lata, jakeś wdowcem po mojéj córce, a twojemu starszemu sześć latek już minęło. Ba, i tobie trzydziestka za pasem, mój chłopcze, toć u nas będą mówili niedługo, żeś już za stary do żeniaczki. Masz-ci dwoje pięknych dziatek, i dotąd, co prawda, nie było z niemi kłopotu; moja kobieta, choć to ciągle tak niedomagająca, i synowa, doglądały tak jak mogły; boć je kochają jak przynależy. Stasiek bez mała już się odchował; już i z bydłem na polu można go zostawić, i koło kuźni umié téż posłużyć. Ale drugie, biedne niewinniątko, co je kochamy Bóg widzi, na ten rok może szkodować w swym opatrunku. Synowa spodziewa się nowego, a ma jeszcze maleńkie na ręku. Jak téż jéj się to teraz urodzi, to jéj ani myśleć o twojéj Salusi, co dopiero ledwo nogi stawić umié, a moja stara teraz, jak wiész, więcéj jest w łóżku niż na nogach. Toćbyśmy wszyscy nieradzi widzieć zaniechaną dziatwę, i aż głowa zaboli pomyśleć, aby im co złego nie przyszło bez doglądu! Przeto wypada ci, mój Jędrzeju, koniecznie dostać sobie drugiéj żony, a mnie drugiéj synowéj—tak dla dzieci jak i dla nas, co stojemy o wasze dobro.

— Ha! toć pewno, trzeba was będzie i usłuchać, ojcze, kiedy sobie tego tak koniecznie życzycie. Nie powiem-ci ja, żeby mi to miło było, albo mi się ożenić, albo mi się utopić, tak mi do jednego jak do drugiego. Wié człek, co utracił, ale nie wié, co znajdzie. Miałem uczciwą i schludną kobietę, słodziuchną a skrzętną i starowną, dobrą dla swych ojców, dobrą dla męża, dobrą dla swych dziatek i ochotną do pracy, czy to w domu czy w polu zręczną; a kiedyście mi ją dawali, nie było o tém mowy, żebym ją miał zapomnieć po śmierci.

— Z serca to mówisz, Jędrzeju—rzekł stary Łukasz—i wiem o tem, żeś ją kochał, ba, i uszczęśliwiał, i żeby tylko można się ze śmiercią umawiać, tobyś się pewnie za nią był stawił, i byłbyś dziś w grobie leżał, a ona byłaby z nami. A choć ty ją może więcéj od nas wszystkich żałujesz, toć i my jéj odżałować nie możemy. Ale tak się Bogu Najwyższemu podobało..., w pacierzach tylko co dzień modlimy się za jéj duszę, i żal został nam po niéj na zawsze. Jednak zdaje mi się, że gdyby tylko mogła z tamtego świata zagadać, toby ci pewnie sama kazała starać się o inną matkę dla swoich dziatek. I o to tylko chodzi, żeby taką znaleść, coby była godna tamtéj. Nie snadnoć to, prawda, ale jakby się taka znalazła, toćbyś ją kochał, tak jakeś kochał naszą córkę, boś chłopak uczciwy.

— Dobrze, mój ojcze, kiedy tak chcecie, niech będzie według waszéj woli, jak zawsze bywało.

— Znam ja, Jędrzeju, twoje serce, i dla tego szczerze z tobą mówię. Najprzód nie zda mi się, żebyś miał brać sobie taką bardzo młodą,— boć młodość to płochość, a to rzecz nie lada wychować dwoje dzieci, a jeszcze nie swoich, trza do tego uczciwéj duszy i wyrozumienia wielkiego, żeby niebogie dzieci nie szkodowały.—Właśnie co tylko o tém myślałem— odezwał się Jędrzéj— żeby te biedoty miały cierpieć, albo żeby je miała poniewierać jeszcze....?—Niechże ręka Boska broni!—zawołał starzec— a trzebaćby już do cna rozumu nie mieć, żeby nie wybrać takiéj, jak nam potrzeba.—Prawdę mówicie, ojcze, są ci tu w miasteczku dobre dziewczęta, jak oto Ulina, Jagusia, Antosia....

— Zwolna mój synu, nie tak zaraz znowu: nasze dziewuchy albo za młode, albo za biedne dla ciebie... nawet może zapiękne..., boć i na to zważać potrzeba... najczęściéj te piękne, to nie tak starowne znowu... —A i chcielibyście to ojcze, żebym miał wziąć brzydotę jaką? —rzekł Jedrzéj z przerażeniem.—O, co to, to nie, ale zdrowa, czerstwa kobieta, co to ni ładna, ni brzydka... to właśnie dla ciebie.

— Ależ, mój ojcze—rzekł Jędrzej smutnawym głosem, toć trzebaby taką, aby była przytém i niebiedna, chyba na urząd u Pana Boga obstalować, a wdowcowi to nie tak łatwo.

— A jakby téż i ona była wdową? hę, i to bez dzieci, a i z kawałem grosiwa, choćby téż i nie zaraz, tu koło nas, —ale daléj —hę?

— Bo wy, ojcze, macie kogoś na myśli?—A, prawda, że mam,—oto córkę Wincentego, wdowę po Chojnickim, co to mie-

szka w Kałuszynie—Nie znam jéj wcale—odpowiedział z uległością coraz smutniejszy Jędrzéj.—Na imię jej Basia, tak jak i nieboszce.— Basia?! miły Boże—zawołał Jędrzej—jakby to lubo było wymawiać to imię Basia!... Ale to tylko jeszcze gorzéj by było, boby mi się zawdy tamta przypomniała.

— A ja ci powiadam, że ją będziesz kochał, bo to co dobrego kobieta, z charaktem; dawnom jéj prawda nie widział, ale była wcale niczego; teraz może o rok od ciebie starsza. Z dobrego też jest gniazda; ma kawałek gruntu, co wart z ośm albo dziesięć tysięcy, i jest nie od tego, żeby iść za mąż drugi raz, niechbyś się jéj tylko spodobał. I powiem ci więcéj, Jędrzeju, że ja już z jéj ojcem Wincentym te rzeczy ułożyłem, jak należy, i tylko o nią chodzi, bo ciebie już widział i słyszał dużo dobrego o tobie. A wiem przytem jeszcze, że i mienie mają nie zgorsze.—Oj! to mienie, to strasznie coś ojcu w głowie.—Bo prawda, a tobie to nie, Wojciechu?—Jakbyście chcieli, to czemu nie ma być, abyście tylko byli mi radzi. Toć Bóg widzi, że w mojém rzemiośle nie dam się nikomu zawstydzić i zarobić umiém,—ale frasować się, jak groszem obrócić, żeby z niego coś więcéj urosło, to nie moja głowa.—Toć tém gorzéj właśnie, mój synu, i dla tego potrzeba ci kobiety z głową. I pomnij też, że dla dzieci twoich zostanie się jaka taka po nieboszce chudoba, aleć nie wiesz, jak się familija zdrugiéj żony może rozrodzić, a jak ul pełny, a przyjdzie czas do rojenia, to każde jeno patrzy, żeby więcéj miodu zebrać. Toć pamiętaj, że dzieci z drugiéj żony nie mają prawa do majątku starszych, i ostałyby pewnie w biedzie, żebyś ich miał odumrzeć, gdyby i twoja żona jeszcze nic z siebie nie miała. A i przysporzonym dzieciom dać jeść sporzéj potrzeba, i gdy majątku nie przyrasta o tyle, to i bieda mogłaby się zakraść mimo twéj pracy i starania. Zresztą, choćby najlepsza kobieta, przy licznych dzieciach, przysporzyć nic w domu nie może, chyba tylko ochronić to, co ma dokoła siebie. Toć rozważ sobie dobrze, Jędrzeju, i myśl spodobać się wdowie, boć jéj rządność i talarki na dziś byłyby pomocą, a na potem spokojnością świętą.

— Niechże i tak będzie—rzekł Jędrzej—będę czynił, co będę mógł, żebyśmy się spodobali sobie wzajemnie.—Ale do tego trzeba ją zobaczyć i pojachać do niéj do Kałuszyna choćby zaraz jutro; niedługo staniesz tam, o zmroku; Niedzielę całą przepędzisz u niej, to dość czasu na oględziny, a staremu Wincentemu weźniesz niezły podarek z tych dzikich kaczek, coś je to wczora wieczorem zastrzelił na Liwie. W poniedziałek wrócisz i tak albo siak i skończone rzeczy..

Gdy stary Łukasz oddalił się z kuźni, Jędrzéj z natury cichy i skromny, zadumał się głęboko. Kochał on w życiu jedną tylko kobietę, a od czasu owdowienia do żadnéj się nietylko ani uśmiechnął, ale rzadko minął dzień jeden, żeby nie zapłakał skrycie swéj żony. Dla tego też z obawą i smutkiem skłaniał się do teścia woli. Myślał on sobie nieraz, że miłość mogłaby go może pocieszyć, gyyby niespodzianie zajęła jego serce; lecz rzadko miłość ten znajdzie, kto umyślnie jéj szuka, i zwykle zjawia się wtenczas, kiedy się jéj najmniej spodziewamy. Zimny ten układ małżeństwa, ta nieznajoma mu narzeczona, nawet jéj pochwały—wszystko to wprawiło go w niemiłe marzenie, lecz nie dało powodów do sprzeciwnictwa. Kochał on całą rodzinę szczerem sercem i dla tego pomyślawszy o niéj, zdał się na wolę Bożą.

Gdy wyszedł z kuźni, już słońce czerwonym kręgiem na zachodzie żegnało ziemię; czasu tego przed zupełnym zmrokiem użył Jędrzej na założenie dziur, które owce porobiły były w płocie przy ogrodzie. Powtykał na nowo wyłamane ciernie, i umacniał je bryłami ziemi, a jemiołuchy szczebiocąc w pobliskich krzaczkach, zdały się wołać na niego o pośpiech, ciekawe i niecierpliwe wyjść obaczyć jego robotę, skoro sie tylko oddali.

Nazajutrz, gdy z południa Jędrzej zaprzągł swą siwkę w hołoble do wózka, iwszedł do domu na pożegnanie, zastał tam starą Magdalenę, sąsiadkę bardzo biedną, ale poczciwą i skrzętną w pracy. Nędzny jéj domek był czysty i dobrze utrzymany; odzież jéj uboga była połatana starannie, a twarz choć zmizerowana, pomarszczona, jednak prawie zawsze dobrotliwym się uśmiechèm krasiła. Gdy wszedł Jędrzéj, zagadnęła do niego, świadoma już celu jego podróży:

— Bogu dzięka, że przecie namyśliliście się Jędrzeju, daj-że Panie, żebyś natrafił na taką dobrą kobietę, jak sam jesteś, poczciwe chłopczysko.

— Słuchaj-no Jędrzeju, oto dziewucha naszéj sąsiadki Magdaleny idzie za pastuszkę pod Kałuszynem; dziś nawet kolonista Gotlib przysyłał dowiadywać się o nią, a poczciwa Magdalena przyszła cię poprosić, czybyś nie zabrał ją z sobą?

— Czemużbym jéj nie miał wziąć?—rzekł Jędrzéj ciągle zafrasowany; jam zawsze gotów drugiemu dopomódz. Ale co to, że się tak nagle pozbywacie téj jedynéj waszéj podpory na starość, matko Magdaleno?

— Oto trafia jéj się służba niczego u zamożnego kolonisty. Wracając z jarmarku wózkiem, zobaczył on moją Marychnę, jak pasła krówkę na miedzy, zagadał do niéj, czyby nie chciała więcéj krówek paść, za dobrą zapłatą, za 50. złotych do św. Jana, bo jego pastuszka zachorowała i idzie do swoich, — i kazał jéj przyjść za tydzień, jeżeli się zgodzi. Biedne dziewczynisko za nic w świecieby się nie rozstało ze mną, ale późniéj się wygadała, kiedy zmiarkowała mój frasunek nad tem, jaktu przyjdzie zimę przebiedować, co będzie długa i tęga, boć ludzie już widzieli, jak dzikie gęsi ciągnęły do cieplic od czterech tygodni. Ale cóż robić?.

Zapłakałyśmy potem obie nad sobą, ale rozważyłam, że obiedwie w kupie zostać nie możemy, bo i jednéj ledwie wyżyć można przy naszéj chudobie, a Maryśce już pono całe szesnaście latek, toć czas jéj, tak jak i drugie zarobić sobie na kawałek chleba a i matce dopomódz.

— Słuchajcie no, matko Magdaleno,— rzekł stary Łukasz, kiedy już ją tak w świat wyprawiacie, toć niechże dłużej tam nie zostanie jak do św. Jana i potem nam ją do służby dacie, boć to dziewucha i do tańca i do różańca, a robota to poprostu pali się w jéj krzepkich rękach.

— A jak już nie ma zgoła co robić — wtrąciła pokaszlując Łukaszowa—to jak się weźmie szorować a wycierać wasze ubogie graty, że świecą się jak szkło najczyściejsze! Oj to złota dzieweczka. —

Niedługo po téj rozmowie, przyszła Marychna zawołana przez Matkę, wybrana do drogi; błękitne jéj oczy poczerwieniały od płaczu i jeszcze raz zapłakała rzewnie wraz z matką przy rozstaniu.

— A pamiętaj Jędrzeju—rzekł jeszcze Łukasz—dobrze sobie miarkuj drogę w lesie przed Kałuszynem, jak się skręcisz do kolonji—boć dziewuchę trzeba już na miejsce zawieść, toć nie wieleć tam będzie z drogi.— Tylko nie przepomnij, jak przyjedziesz, gdzie się trzy dróżki rozchodzą w lesie przed stawem, co to go Zwodzijaszem zowią, to bierz się na lewo, a potem jak będzie krzyż, to zawrócisz na prawo i zarazci się pokaże kolonija.

Jędrzej przyrzekł pamiętać dobrze drogę, którą raz już kiedyś jechał, jak mówił,— i za chwilę siwka kształtna, młoda i silna popędziła z wózkiem po węgrowskim bruku. Nikomu tam nie przyszło na myśl nic złego z téj jazdy dwojga młodych i pięknych ludzi, ale przytem znanych z uczciwego wychowania w dobréj sławy gniazdach. Wistocie choć Jędrzej miał już lat dwadzieścia ośm, lecz twarz jego nie była jeszcze zwiędnięta ani poorana trudami i znojem, jak się to czasem zdarza u niejednych ludzi z jego stanu. Owszem świeżość lic jego okraszonych drobnym wąsem, i oko pełne ognia, modre jak niebo wiosenne, a przytem postawa zgrabna i giętka, w oczach wszystkich równała go z dwudziestoletnim młodzianem. O Marychnie to tylko wystarczy powiedzieć, że wszyscy ją mieli za najładniejszą pastereczkę nietylko w Węgrowie, ale i w okolicy.

Jechali w ciszy i zamyśleniu, aż kiedy już ostatni wiatrak im z oczu ginął, odezwał się Jędrzej, by smutne myśli Marychnie przerwać:

— Nasza siwka, coś parska wesoło, chyba nam będą radzi na miéjscu..

—Wam Jędrzeju, może—odpowiedziała Marychna ocierając zapłakane jeszcze oczy— aleć ze mną inaczej, boć to służba wolność traci, jak mówią.

— Jak u kogo, co prawda— rzekł Jędrzej—aleć i mnie jakoś nie rozkosz tam jechać,—A po chwili dodał z westchnieniem... —Dobrze, żem w dodatku z sobą nie zabrał Staśka, co się tak z płaczem o to napierał jeszcze wczoraj przed spaniem—mówił dalej Jędrzej.—A to czemuście go z sobą nie wzięli, to taki miluchny dzieciak, mój Boże.— Podobno miał tam być niepotrzebny, jak

mi radził ojciec Łukasz. A ja znowu myślałem, że owszem, warto było zobaczyć, jak to tam będą radzi i jemu. Ale na co się to zdało tobie Maryś o tem gadać, kiedy ty tego pewnie i nie rozumiesz.— Mylicie się Jędrzeju i bardzo, boć ja wiem dobrze, że jedziecie się żenić, jak mi mateczka moja mówiła, ale możecie być spokojni, ja się przed nikim z tém nie wygadam.— I dobrze zrobisz Marysiu, bo może się jéj nie spodobam...—Mnie się zdaje, że i owszem, czemubyście spodobać się nie mieli.—Mam już dwoje dziatek, a to ciężko na kobietę, jak nie jest ich matką. — Prawdziwie to, ale wasze dzieci nie takie, jak drugie.—Doprawdy? — Juści śliczne jakby laleczki, a przytem nauczone tak, że już trudno takich miluchnych...— A dziś rano znowu Stasiek probował, czy się nie dam do zabrania go namówić. Jaki to sprytny, a przymilający, ale jak widział, że nic nie wskura, to się i nie napierał; widzisz go, jaki mi! jak sobie poszedł w pole, to go cały dzień już ani widać.— Jam go tam widziała — rzecze Marychna — latał z dziećmi, pod borem, i zmiarkowałam, że już dawno nie musiał być w domu, bo od głodu aż ciarki i jeżyny zbierał po krzakach, a jadł. Dałam mu téż swój chleb podwieczorkowy, a on mi tak powiedział: dziękuję ci Marysieńku, ja ci za to jutro dam placka! Takie to miluchne wasze dziecko Jędrzeju. Oj! czemuście go téż z sobą nie zabrali, boć juściż nie wiem jakaby kobieta była, żeby tak ładnego dziecka nie kochała.—

Wtém, gdy już przejechali rzeczkę Liw, a byli pod samym miasteczkiem Liwem, na skręcie blisko staréj wieży zamczyska królowéj Bony, nagle siwka uskoczyła w bok, lecz zwracając się zaraz na miejsce, zbliżyła się do krzaka rosnącego przy drodze, poznając powoli, co to ją tak zrazu przestraszyło. Jędrzéj spojrzał w tę stronę i spostrzegł za krzakiem w rowie jakby skulone jagnię.

— Toć to zbłąkana owca, albo może i zdechła, bo się nie rusza, trzeba zobaczyć.

— Bogać tam owca, toć to dziecko śpi w rowie. A! to wasz Stasiek, Jędrzeju! —Czy być może — rzekł — i zeskoczył z wózka. Paczcie no! to mały nicpoń! spać mu taki kawał od domu, i to jeszcze w rowie, żeby jaka gadzina ugryzła.— —I podjął dziecię, ktore z radośnym uśmiechem otworzyło oczy i rzuciło mu się na szyję wołając:

— Tatulku, teraz mię już zabierzecie z sobą, nieprawda! — A cożeś to tu bratku robił? — Ha! czekałem na tatula, aż mię sen zmorzył od wyglądania za Tatulem.

Było wiéle dąsaniny ze strony Jędrzeja, a jeszcze więcej płaczu Stasia, tak, że i ojcu wreszcie łza w oku stanęła i na usilne prośby Marysi, wsadził go na wózek. Marysia wzięła go zaraz na kolana i jadąc starała się małego znajdka i ojca jego w wesołość wprowadzić.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

CZŁOWIEK I KAMIEŃ.

Przypowiastka.

Po czarnéj kawce, smacznym objadku,
Szedł Człowiek drogą, przechadzki zażyć;
Z cygara dymek wonny w dodatku
Myśl mu rozbujał, — więc począł marzyć...
Marzył o wszystkiem (głównie o sobie),
Za rozigranym dymkiem wzniósł duszę
(Niezbyt wysoko)... Na ziemskim globie
Jakąś rozkoszną czuł wkoło głuszę...
W tém — jakie licho wlazło mu w drogę?
Mocno się potknął o kamień spory,—
Śród górnych marzeń skaleczył nogę!
— Ach! wy przeklęte głazów zapory —
Wykrzyknął — długoż jeszcze te drogi
Psuć będą wozy, kaleczyć nogi,
Że trudno na świat nosa wychylić!
Gdy się tak począł na rozum silić.
Nadszedł Staruszek, a przy zawadzie
Wstrzymał się — milcząc, kamień wziął w dłonie,
I śród strumyka starannie kładzie,
Co srebrny płynął łączką na stronie.
Potem nań stąpnął, za drugim krokiem
Już suchą nogą stanął na łące.—
Nasz Człowiek dymku skrył się obłokiem,
Patrzy bezmyślnie w nurty brzęczące...
Aż mu się zdaje, że z pod kamienia
W głąb' uszu jego słowa szeptały:
„Gdybyś mnie podjął, i śród strumienia
Sam wprzódy złożył, wtedy z zawały
Bezwładnéj dobro trzykroć-byś zrobił:
Bezpiecznie zdrową stąpałbyś nogą,
Przytém-byś *pięknie* strumyk ozdobił,
Bo, patrz! jak woda igra tu błogo,—
I tych zabawi, co przejdą po mnie,
Więc i *sławiliby* nas potomnie...
O! zamiast biadać na złe, mój panie,
Niechże wpierw czyn twój wzorem się stanie.“

J. Gr.

MYŚLI.

Licba osób oszukujących, bez wątpienia jest znaczną; lecz tych, którzy się sami oszukupą, nieskończenie jest większa.

CUDOWNA POTĘGA

RYDLA I PŁUGA.

(*Ciąg dalszy*).

W końcu tych uwag nad wspomnioną w początku cudowną *potęgą rydla i pługa*, a więcéj nad potęgą samego rydla, skierowaną i wywartą przez potęgę nadanych od Stwórcy człowiekowi cudownych Jego sił, na przestrzeń podobnejże Jego ziemi, równą najprzód 15-tu stopom naszym wzdłuż i w szerz, potem 300, a na koniec 9000 razy od niej większą, zkąd okazała nam się tak wielka korzyść,—mamy nadmienić, iż korzyść owa nasza pieniężna tak wielka, chociaż nie jedyna, i tak prędko wzrastająca, że pierwsza jej część (30000 gr.) może nas spotkać po upływie dwóch lat, druga (30000 złp.) po upływie lat czterech, a trzecia (30000 prawie dukatów) po upływie lat 14-stu następnych,—powina być przypisana nie samym takowym cudownym siłom bożym nadanym przez Stwórcę nam i ziemi, ale i tym Jego stworzeniom, a naszym spółstworzeniom, które nazywamy w ogólności roślinami, a w szczególności drzewami owocowemi. Albowiem i te stworzenia, jak tego przedstawia nam przykład pieczarka, burak, przenica, wino i grusza winiówka, zamieniające tak brzydką rzecz, jaką jest zwyczajny nawóz, w tak piękną czyli miłą i zarazem wielorako użyteczną oraz żywotną.., jaką się okazuje pokarm pieczarczany, cukier burakowy, chleb przenny, napój winny i owoc tejże gruszy: mają nadane sobie od tegoż Stwórcy równie cudowne jeżeli nie cudowniejsze od naszych sił, któremi tych rzeczy, niby sami, a w istocie wraz z temiż spółstworzeniami dokonywamy. Za co i jemu, jako początkowi wszystkiego dobrego, i im, i nareszcie nam, samym, jako wykonawcom Jego dobroczynnéj woli należną wdzięczność jako najmilszy i najświętszy, a nawet jako najzbawienniejszy dla nas i dla tegoż rodu obowiązek okazywać powinniśmy, a to w imieniu całego ludzkiego rodu czy pełniącego też Jego wolę, czy mającego dopiero ją pełnić dla ziszczenia się tego, o co prosimy Go w codziennych naszych modłach słowami: „bądź wola Twoja, jako w niebie tak i na ziemi!“

Wspomnione tu spółstworzenia, a szczególniéj tak wysoko od Stwórcy uzdolnione do służenia sprawie boskiéj i ludzkiéj, czyli sprawie dobra powszechnego, do jakich należy wymieniona dopiero grusza, winiówka i wszystkie w ogóle drzewa owocowe,—służą jeszcze tejże sprawie, przez wydawanie ze swych kwiatów miodu; ale nie mogą one spełniać na sobie téj dobroczynnéj woli bożéj same przez się, ani nawet przy pomocy sił naszych ludzkich, bo im nikt z nas chociaż się ta rzecz i naszego dobra tyczy, pomódz wprost w tem nie może. Więc mają sobie, wraz z innemi podobnemi im, to jest miododajnemi stworzeniami czyli *Roślinami*, przydane g'woli temu przez Opatrzność stworzone jestestwa, to jest zwane w naszéj mowie wogólności robabaczki czyli *żyjątka*, a w szczególności pszczoły. Albowiem one spełniają właściwe sobie w tym względzie, znane nam dobrze przeznaczenie, zbierając z tychże grusz i innych podobnych im drzew, oraz krzewowych i zielnych roślin wspomniany dopiero *miód* wraz z *woskiem* i maścią gojącą, zwaną w tejmowie *zasklepem* (którą zasklepiają one czyli zalepiają źle przez nas opatrzone na zimę ich mieszkania, nazywane ulami), i pomagają tymże roślinom, przez roznoszenie pyłku ich kwiatowego, w wykonywaniu czynności ich żywotnéj rodzajnéj, mianowanéj w tejże mowie kwitnięciem, a tem samem w wydawaniu przez nie owoców z rodzącemi nasionami, bo nowe drzewa i inne swego rodzaju rośliny wydawać mogącemi.

Łaski Boskie zapewnione nam przez żyjątka a mianowicie pszczoły.

Z tego wszystkiego co się tu powiedziało, okazuje się z naszéj strony potrzeba i nawet święty, bo zresztą święcie przez naszych

odległych przodków słowiańskich spełniany z natchnienia bożego obowiązek, pielęgnowania, obok drzew owocowych podobnych im spółstworzeń naszych roślinnych, — pielęgnowania, mówię, innych doskonalszych od nich, bo nietylko życiem, ale i czuciem obdarzonych spółstworzeń, zwanych, jak się powiedziało, żyjątkami, a wszczególności pszczołami. Spółstworzenia bowiem te, nie tylko pomagają wspomnionym dopiero swoim, niższym od siebie, bo tylko żyjącym spółstworzeniom roślinnym, w spełnianiu ich pierwszego drugiego i trzeciego, to jest że tak powiem przeznaczenia miododajnego, owocodajnego i ziarnodajnego: ale jeszcze pomijając miód, który wogóle tylko nas obchodzi, przysługują się nam, a nawet i innym pielęgnowanym przez nas istotom, w dostarczaniu wspomnionego wosku i zasklepu, do gojenia zadawanych im przez nas skaleczeń, np. przy szczepieniu, lub innych przypadkowych ran.

Oprócz tych przysług, świadczą nam jeszcze inne dobrodziejstwa też żyjąco-czujące spółstworzenia, zwane w ogólności Żyjątkami, a w szczególności pszczołami: albowiem przez swoją skrzętność i pracowitość połączoną z błogą wesołością i niewinną rozkoszą, pobudzają nas, ze zrządzenia dobroczynnej dla nich i dla nas Opaczności do naśladowania siebie, wskazując nam z tegoż zrządzenia drogę prowadzącą nas do takiéjże błogiéj *wesołośei* i niewinnej *rozkoszy*, będącemi oznaką naszego zdrowia i zadatkiem długiego życia, otwierającego nam obszerniejsze pole do zasług przed Bogiem, ludźmi i naszem sumieniem. A zatem wskazują drogę, do większéj szczęśliwości, niżeli życie krótkie, a do tego połączone z pożerającym nas smutkiem i trawiącemi boleściami, będącemi zwykłe skutkiem życia naszego bezczynnego lub ladajako czynnego.

Przeto istoty zwłaszcza zostające pod naszą dobroczynną dla nich opieką, są usposobione do używania wspomnianéj dopiero błogiéj *wesołości* i niewinnéj *rozkoszy*, będącéj skutkiem, jak to każdy łatwo pojąć może, szczególniéj ich zdrowia i łagodności. Przytem istoty te są w stanie czynić nas, prawem wzajemności, sobie podobnymi, to jest używającymi takowej błogiéj *wesołości* i niewinnéj *rozkoszy*, a z niemi dłuższego i szczęśliwszego, Bogu, ludziom i nam milszego życia. Zatem istoty, które zostają pod tąż dobroczynną naszą, a przez Opatrzność boską zdaną na nas opiekę, mogłyby używać większej albo mniejszéj liczby rodzajów *szczęśliwości*, któreto rodzaje boska mowa nasza wskazuje nam wszystkie razem w wyrazach czyli raczej w owych wyrażeniach błogiéj *wesołości* i niewinnéj *rozkoszy*, i jeszcze w dwóch innych to jest w wyrażeniu wzniosłej przemijającej *pociechy* i trwałej niebiańskiéj *radości*. Słowem istoty te byłyby w stanie czynić nas, temże prawem wzajemności, używającymi większej także albo mniéjszej liczby rodzajów takowej przedłużającej i ubłogosławiającej nasze życie *szczęśliwości*.

Co do istot, które mogą używać pod takową naszą opieką mniejszej liczby rodzajów szczęśliwości: to temi istotami nie mogą być inne tylko Rośliny w ogólności, a w szczególności drzewa: bo tylko o nich mówi się, że są *wesołemi*, będąc zdrowemi, i tę wesołość np. przez podniesione gałązki, liście i kwiaty (nakształt zdrowych śpiących ludzi,) na sobie okazującemi: nigdy zaś nie można o nich mówić, że używają jakiejkolwiek, na wzór czuwających tychże ludzi *rozkoszy*, bo nie mając czucia, tak jak ciż ludzie we śnie, nie mogą też doznawać czuciowej szczęśliwości to jest właśnie tejże *rozkoszy*. A zatem są one takiemi stworzeniami, że mogą tylko na zasadzie wspomnionego dopiero prawa wzajemności, stawać się dla nas środkiem do uszczęśliwienia się, że tak powiem, sennego, czyli na saméj *wesołości* zasadzającego się, jakiego właśnie dowody okazujemy na sobie przez ożywione i dziarskie rysy naszej twarzy, zasypiając, a jeszcze lepiéj często sypiając pomiędzy podobnemi drzewami.

Uszczęśliwienie to, przez to samo, że jest senne czyli bezczuciowe, jak są bezczuciowe istoty, będące dla nas środkiem do jego dostąpienia, wskazuje z siebie tylko pierwszy stopień czyli raczej rodzaj całkowitego naszego uszczęśliwienia, składającego się, jak wskazuje wspomniona dopiero boska mowa nasza, z owej błogiej *wesołości*, niewinnéj *rozkoszy*, wzniosłéj *pociechy* i niebiańskiéj czyli opatrznościowéj *radości*; wktó-

rej używaniu tylko dobroczynna Opatrzność boska i my podobnie do niéj żyjący możemy mieć udział, jak mieli w niéj a przynajmniéj musieli mieć tak w ogóle żyjący nasi odlegli słowiańscy przodkowie. (*d. c. n.)*

RADY GOSPODARSKIE.

— Następujące *owoce* i rosliny okazują się *dla drobiu szkodliwemi.* Gorzkie migdały dla wszelkiego domowego ptastwa okazały się zabójczą trucizną; gdy tylko trochę z tego zjedzą, to dostają zawrotu, padają i zdychają, a niewiadomo, czem w takim razie przyjść im w pomoc. Gęsiom nie służy pietruszka, kaczkom cukier; jednym łótem tegoż można starą kaczkę zabić. Dla indyków naparstnik (digitalis) jest niebezpieczny, bo chociaż nie giną od tego, to chudną bardzo, podobnież i cykuta (świnia wesz), jest im szkodliwą, gdy się przypadkowo nią najedzą, to giną, chyba że im się w porę zada oliwę. Żyto ma szkodzić kaczkom, bo dostają zawrotu; łodyga maku zwykłego posiekana i domieszana do innego pokarmu nie szkodzi gęsiom, gdy zaś samą jedzą, to często śmiercią przypłacają, (*K.W*)

Kumoszka całego świata.



Powiadam Państwu, dziwne się rzeczy dzieją w Warsawie: panny po ulicach gubią swoje włosy, ale choć mówię że *swoje*, to przecież *nie własne*. Spotkało mnie to szczęście w tych dniach, na Nowym Świecie: moja znajoma Nastusia, ubrana w spódniczkę kolorową—halkę— z ogromną krynoliną, wra cała z koszykiem ze Zrazowskiego targu,—aż tu patrzę, jakaś żmija nie żmija leży na chodniku. Podnoszę, toć to włosy wyraźnie!—wołam: Nastusiu! Nastusiu! włosy sobie zgubiłaś, kochanie, patrz cały ich warkocz podniosłam.— To *szą* nie *włoszy*, odpowiada, to się *kok* nażywa, dodała odąwszy się i nie podziękowała nawet, tylko weszła w bramę i przypięła go sobie zwinięty w kupkę na tyle głowy. Ot, co to moda znaczy! pomyślałam, już i Nastki nasze w pożyczanych włosach chodzą.....

— Tu mi się przypomina z téj biednéj mody o jednym młodziku, syn ku poczciwego mojego kuma Błażeja z Podlaskiego. Ojciec swoją fortunkę krwawym potem zlewał, żeby, jak umrze, coś dla syna uciułać. Ale jak umarł, tak synek wyjął z kuferka wszystko grosiwo, sprzedał gaj brzozowy, co był na jego gruncie, i pofrunął na karnawał do Warszawy, żeby się po modnemu zabawić. A po drodze i w Warszawie, kazał się swojemu furmanowi jaśnie panem nazywać. Ale w Warszawie, jak kto chce, to może bardzo szybko pieniążki puścić do ludzi—czy tam nie do ludzi, bo chciałam powiedzieć do karciarzy.—Było to już w ostatni ten Wtorek mięsopustny,—kiedy nasz panicz,co zajadał same frykasy i zgrał się przytem, że został goły jak węgorz polski, siadł do obiadku w hotelu, ale nic nie jadł, tylko coś ciężko się zadumał. Wtem furman, co stał z boku, użalił się jakoś nad nim i zapytał: „Mój Boże, jaśnie pan nic nie je?"—Oj tak,— odpowiedział panicz na to:—nie jé, bo *jaśnie państwo* już całkiem zjedzone!"

— I dziwić się tu, dla czego taki młodzik potem się nie żeni? „Czy ja głupi—powiada zwykle— ożenić się i biedę klepać:"— —A któż temu winien mój panie, trzeba nie *putać*, to się potem biedy nie będzie klepać,— a żona przecież nie jest dla ciebie szkatułką, paniczu, żebyś z niéj potem swoje długi kawalerskie spłacał.— —To też powiadają, że w tę popielcową Srodę jak w żadną, tyle się pokazało klocków u starych kawalerów, żeby niemi można było kilka pieców opalić do saméj Wielkanocy.

Odpowiedź p. Cieśl... z Lublina O prace prosimy, jeśli łaska; liczba prenumeratorów na pismo ludowe zależy od stopnia samolubstwa ukształceńszych ludzi.

Zagadka.

1. Siwe wieprze całe pole zaległy?
2. Leciał ptak, na wodę bach! wody nie zmącił, sam nie odleciał?

Znaczenie poprzedniej Zagadki: *Wiatr.*

Redaktor i Wydawca Józef Grajnert, pod Nr. 24 (nowym) ulica Nowy Swiat. — W druk. I. Krokoszyńskiego.—

Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.